

Za urał do syberyjskiej puszczy zostałem wywieziony wraz z 17-letnią żoną w maju 1940 roku z Przemyślan wojew. lwowskie. nie byłem kułakiem, pomieszczykiem ani też jakimś byłym pracownikiem w polskiej państwowej służbie bo takich wywożono. Powodem zesłania było to, że po pierwszym września 1939 r. przybyłem z za Sanu. Uchodziłem przed Niemcami tak, jak wielu młodych Polaków na wschód aby przedostać się do Rumuni z nadzieją wstąpienia do wojska polskiego by walczyć z Niemcami. Nie zdążyłem jednak dokonać tego bo droga do Rumuni została odejęta przez armie radziecką. Pozostałem więc w Przenyślanach u dawnych znajomych i tam z końcem 39 roku zawarłem związek małżeński. W maju czterdziestego roku dowiedziałem się poufnie że jestem na liście do zsyłki i ukrywałem się przez kilkanaście dni. Pewnej nocy zabrano jednak samą żonę i odstawiono ją pod eskortą na stacje kolejową gdzie czekały już wagony towarowe pilnowane przez uzbrojonych żołnierzy. W takiej sytuacji musiałem się zgłosić i oddać się sam. Po ponad 10-dniowej podróży w zamkniętych wagonach znaleźliśmy się w bezkresnej zdawało się puszczy, w miejscu bez nazwy określonym jako uczastoK240 rejon Pyszma. Po przybyciu zamieszkaliśmy narazie w starych zapluskwionych wagonach towarowych i zaczęliśmy prace od przedłużania o 10 km w głąb lasu linii kolejowej gdzie równocześnie zaczęliśmy budować dla siebie baraki. Po wybudowaniu baraków pracowaliśmy ciężko przy wyrębie lasu i załadunku wagonów naszym "urobkiem". Normy wyśrubowane były do granic możliwości, a od wykonania tych norm uzależnione były warunki bytowania w tym też przydział skromnej żywności. Pracujący otrzymywali w prawdzie 800 gr chleba, a był to chleb czarny i lepki jak glina. Do chleba czasem kawałek jakiegoś ryby lub trochę marmelady. W stołówcejaka później powstała można było dostać tylko na obiad talerz marniej zupy. Były tam 3 rodzaje zup. Pierwsza to szczy /rzadki kapuśniak/, druga to lepsza parę klusek pływających w wodzie i trzecia ucha - zupa z głów rybich. Jedna zupa "szła" kilka dni pod rząd. Stare zapasy sił z niedawnej przeszłości pozwalały narazie na wysiłek w wykonywaniu norm gdyż pomimo niewiarygodnie marnego wyżywienia zdrowie dopisywało dzięki wspomnianemu klimatowi i zdrowemu powietrzu. Nie tak straszne okazały się później mrozy przekraczające 40 stopni. Plagą nie do zniesienia były w lecie komary i małe czarne muszki, które wciskały się wszędzie i gryzły jak komary. Cały rok dokuczały strasznie pluskey na które nie było żadnej rady. Najcięższym jednak udręczeniem była tęsknota za krajem i świadomość nikłej szansy powrotu ze względu na odległość i przy ciągłym wpajaniu nam przez "opiekunów" jak nie widzisz swojego ucha tak nie zobaczysz więcej Polski. Tutaj trzeba pracować bo tutaj uędziecie umierać. Przy próbie jakiegokolwiek skargi czy też prosby o coś słyszało się od opiekunów jedno " Niciewo

prywakniesz, a jak nie przywykniesz to podochniesz". Od ruskiej miejscowej ludności, a była ich tam nie duża grupa /też dawni zesłańcy/, dopuki nie poznali prawdy o nas doznawaliśmy zniewag. Wymiewali nas, nazywali polskimi panami, którzy żyli dotychczas krzywdą biednych. Najbardziej jednak niepokoiła obawa przed śmiercią głodową gdyż groziło to w przypadku nie dostarczenia z jakiegoś powodu tej skromnej strawy i normy chleba. Taki przypadek zdarzył się w okresie katolickich świąt wielkanocnych w roku 1941 kiedy to nie dostarczono chleba przez 3 dni, a żadnych zapasów przecież nie było /przypuszczam, że to było celowe ze względu na święta/. Dlatego też las stał się dla mnie udręką i więzieniem z którego postanowiłem wyrwać się za wszelką cenę. Taka okazja przyszła z nadejściem roku 1942 po porozumieniu polskiego emigracyjnego rządu w Londynie z władzami "wiązku Radzieckiego. W tym czasie było nas już troje bo w maju 1941 roku urodził się nam syn. Decyzje dokąd wyjechać podjąłem po przestudiowaniu mapy. O zachodzie nie było mowy bo front stał przy wołdze, pozostał tylko wschód i połódnie. Najpierw należało udać się do Nowosybirsk bo tam jak dowiedziałem się była delegatura rządu polskiego i prosić tam o pomoc w skierowaniu na południe bo tam ciepło i tereny rolnicze gdzie łatwiej o pożywienie. Problem tylko ,ak wyjechać bo przecież potrzebnej przepustki nie otrzymam, a bez niej nie dostanę biletu. Dalsza sprawa to z czym wyjechać w nieznane. Należało by mieć zapas żywności na kilkanaście dni bo w drodze, na stacjach kolejowych nie było możliwości kupić czegoś do jedzenia tym bardziej dla 9-cio miesięcznego dziecka. Zacząłem więc od szukania możliwości zdobycia jakiś zapasów. O sucharach z chleba nie było mowy bo tego chleba nie starczało na bieżąco. Zorientowałem się, że w świniańni powstałej przy stółce dokarmiają świnie śrutą owsianą. Z śruty tej można było odsiać trochę mąki. Udałem się więc do oddalonej o 40 km małej miejsciny i nabyłem tam małe sitko. Poleciełem żonie aby zaprzyjaźniła się z ruską dziewczyną pracującą w tej świniańni, dała jej prezent pochodzenia polskiego i nakłoniła ją do odsiewania. Tak się też stało i w wielkiej tajemnicy uzyskaliśmy parę kg tej owsianej mąki. Świniańka też była zadowolona bo odkryliśmy dla niej taką możliwość. Następnie, w miejscinie w której zdobyłem sito, zdobyłem też z wielkim trudem dużego psa, którego zabiłem w lesie i mięso przyniosłem do domu. Z części mięsa i kości nagotowaliśmy około 10 butelek gęstego buljono, a wybrane lepsze mięso pokroiliśmy w plasterki i upiekliśmy na psim tłuszczu. Z mąki owsianej upiekliśmy na płycie kuchennej placki. Tak więc zdobyliśmy zapas treściwego pożywienia na kilka dni. Ustaliliśmy dzień wyjazdu z nadzieją, że jakoś to będzie. Należało dojechać naszą bocznica do oddalonej o 40 km Pyszmy, a z tamtąd linia

transsyberyjską do Nowosybirsk. Współmieszkańcy naszego osiedla odradzali nam wyjazd. Straszili, że nie damy sobie rady, że zginiemy z dzieckiem. Decyzja zapadła jednak nieodwołalnie i byliśmy jedynymi z około 400 rodzin którzy odwozili się na to. Spakowaliśmy skromny nasz bagaż do dwu sformatowanych walizek, do jednego tobołka, a suszone mięso w dużym rędlu, suszone placki i 10 butelek buljonu do dużego worka. Do Pysznymy przyjechaliśmy wagonem towarowym, nie ogrzewanym, a mróz przekraczał 30 stopni. W Pysznym oczekiwano na pociąg w kierunku Nowosybirsk kilka osób lecz biletów nie sprzedawano z braku miejsc. Tak bowiem było, że sprzedawano tyle tylko ~~miejsc~~ biletów ile było miejsc siedzących. Przejżdżało kilka pociągów w ciągu doby, zatrzymywały się lecz nie można było wejść do wagonu bo przy każdym otwartych drzwiach stał konduktor i wpuszczał tylko za okazaniem biletu, jak do teatru. Tak upłynęły prawie 3 doby, a a prowiantu ubywało. Na stacji można było dostać tylko wrzątku /kipiatok/ i nim rozpuszczaliśmy gęsty buljon. Dobrze, że budynek stacyjny był dobrze ogrzewany picami kaflowymi. Sprawa prawie beznadziejna i co robić dalej. Wpadłem w końcu na taki pomysł. Spotkałem na tej stacji grupę Polaków, którzy pracowali tam przy załadunku wagonów drzewem. Poprosiłem ich aby gdy przyjedzie pociąg próbowali włądować mój bagaż do pierwszych otwartych drzwi. Tak się też stało. Pociąg nadjechał, w pierwszym wagonie za parowozem tam właśnie gdzie stał drzwi otworzono i nie było przy nich konduktora. Moji pomocnicy wstawili szybko bagaż do wejścia wagonu, potem wsiadła żona z dzieckiem na rękach a następnie ja. Pociąg ruszył i już jedziem. Po krótkiej chwili drzwi przedziału otworzyły się i ukazał się w nich pracownik w mundurze pocztowym bo był to wagon pocztowy. Przestraszony pocztowiec szybko wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Po pewnej chwili wrócił lecz już z pracownikiem kolejowym. Wtedy dopiero podniesionym głosem uświadomił nas, że to wagon pocztowy i czy zdajem sobie sprawę z tego czynu. Konduktor okazał się bardziej spokojny. Przeprowadził nas do wagonu pasażerskiego. Tam pobrał "sztraf" t.j. karę za jazde bez biletu i powiedział, że ma 2 wolne miejsca. Oświadczył przy tym, że jeżeli dostaniemy bilety na następnej stacji to pojedziemy dalej, a jeżeli nie to wysiadka. Do stacji tej było około 50 km. Powiedziałem żonie że ja wyskocze po bilety, a ona ma pozostać w wagonie ze z dzieckiem na mróz chyba jej nie wyrzucą. Gdybym nie dostał biletów to zdążę wskoczyć do pociągu w ostatniej chwili. Było to poważnym ryzykiem bo gdybym nie zdążył to moglibyśmy rozstać się na długo. Po zatrzymaniu się pociągu na tej stacji pobiegłem do kasy biletowej. Zastałem kasę obłożoną proszącymi o bilet, a kasjerka odpowiada nie ma